

Pijacka nędza

i LOTTO



Przemysław RAJCHMAN

Przemysław Robert Rajchman

PIJACKA NĘDZA I LOTTO

© Copyright by Przemysław Robert Rajchman & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN 978-83-63080-33-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

1.

Maciek przezywany Chrabąszczem siedział na ławce stojącej przy dużym dębim na tyłach domu Władysława Broniewskiego przy ulicy Kościuszki. Dygotał z zimna. Skulony jakby chciał ścisnąć swoje wynędzniałe ciało do najmniejszych rozmiarów i zniknąć. Zapaść się w niebyt i uciec przed zimnem. Mruczał coś sobie pod nosem. Często gadał sam do siebie. Jeszcze częściej tracił kontrolę nad sobą. Znajdował się wówczas gdzieś bardzo daleko od żywych. Zazwyczaj trwało to kilka minut, ale ataki utraty świadomości dopadały go kilka razy w tygodniu. Zapadał się gdzieś w jakieś dalekie mroki swojego zmęczonego życiem umysłu. Tracił kontakt ze światem. Zawsze po tych atakach był wystraszony i czuł swoją bezsilność, a nawet dziecięcą bezradność. Te złe momenty w jego życiu doprowadzały do jeszcze większej bezradności i zmęczenia. Beznadziejności, jaka ogarniała go po tych przeżyciach była jakby zimna czeluść. On w tej czeluści sam. Tak po prostu sam, bez nikogo na świecie. Teraz siedział na ławce i czuł ogarniającą go ciemność. W nocy miał atak. Nawet nie ma, komu opowiedzieć o swoich strachu, a ten coraz bardziej go zaczyna ogarniać, niczym woda człowie-

ka, który zanurza się niej. Jeszcze ten chłód potęgował cierpienie. Poczul, że zapada się i pod wpływem chłodu jak i ogarniającego go strachu zaczął kulić się w sobie. Nisko zwiesił głowę i ukrył ją między wychudzonymi barkami, które uniósł jak najwyżej tylko mógł. Szeptał coś pod nosem. Może dodawał sobie siły, albo przeklinał Boga, albo po prostu mamrotał coś bezsensu, albo wszystko razem na przemian. Wcześniej też tak robił. Przeklinał Stwórcę, a innym razem dziękował mu za wszystko, co dobre w jego życiu.

– Telepie! Co? Marnie wyglądasz. Jak zgniłe zwłoki, które zapomniano zakopać, albo celowo zostawiono, aby odstraszać przyjezdnych – wypowiedź została zakończona śmiechem przypominającym świńskie chrząkanie.

Maciek ciężko dźwignął głowę i spojrzał chcąc rozpoznać osobę, która podeszła i do niego przemówiła. Był to Antek Kwaśniewski, złodziej i nic dobrego.

– Zimno – odpowiedział.

– To wejdz w gówna po uszy nawet cię mróz nie ruszy – odrzekł i odszedł zanosząc się od śmiechu.

– Antek! Widziałeś może Ojca? – Chrabąszcz zapytał odchodzącego szybkim krokiem chłopaka.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił. Odpowiedział tak arogancko jak tylko potrafił.

– Chleje dyktę u Kowala na Rybakach. I dla ciebie, śmierdzący pijaku, żaden Antek! Tylko pan Kwaśniewski! Doszło do mózgowicy? Zapijaczony paralityku.

– Ta?

– Ta! Wynocha na dół, to ci dadzą napić się dykty. Idź inaczej zatrzęsz się na śmierć. Robaku! Marnie wyglą-

dasz. Jakiś taki blady jesteś. Wyglądasz tak jakbyś był tuż przed zdechnięciem. Won do lekarza, a nie choróbsko jakieś roznosisz. Nie! Nie idź do lekarza! Won do grabarza, to zakopie twoje ścierwo. Oby tylko jak najgłębiej i jak najszybciej! Komu jesteś, śmierdzieliu, potrzebny? Nikomu!

– Masz rację. Strasznie mną telepie. Zimno jak cholera! – Reszty słów Maciek udał, że nie dosłyszał.

– Cieplutko jak w uchu, marna bezzębna pijaczyno! Podła śmierdząca kreaturo! Słoneczko grzeje! Cudownie jest! Piękne manowce! – Chłopak w teatralnym geście rozłożył ramiona. – Tak pięknie i cieplutko, a ci, kreaturo zapijaczona, zimno! Marny los pijackiego patałacha. Też, że takie gównu ziemia chce nosić! Wyzdychajcie marne pijaki! Powietrza dla was szkoda! – Antek coraz bardziej stawał się prowokacyjny w zachowaniu. Maciek, kierowany doświadczeniem, postanowił robić uniki i nie dać powodu do ataku. Znał go i wiedział, na co stać tego łobuza, więc bez słowa chłopak wstał i poszedł prosto przed siebie. Nie chciał dłużej rozmawiać z Antkiem. Bał się jego nieprzewidywalności w zachowaniu. Maciek wiedział, że niejednego człowieka Kwaśniewski już skopał do nieprzytomności. Nie chciał zostać kolejną ofiarą wściekłej agresji Antka, który zaczął właśnie głośno wykrzykiwać przekleństwa pod adresem Maćka. Chrabąszcz ruszył przed siebie, nabierając z każdym nowym krokiem prędkości. Słyszał za sobą wściekły wrzask.

– Idź do lekarza! Zresztą, jak zdechniesz, to i żadna strata. Szkoda nawet twojej matce nie będzie jak wykorzystasz. Śmierdzące łajno! Chrabąszcz zegnij kolana! Ze-

gnij, będzie ci łatwiej chodzić! I przestań tak podskakiwać! Konik polny! – I kolejna salwa świńskiego chrząkania.

Chłopak odwrócił się i odpowiedział bardzo grzesznie, tak, aby nie wywołać niezadowolenia u Antka.

– Na kacu zawsze sztywnieją mi nogi. Przecież wiesz! Czemu się śmiejesz?

– Bo mi jest śmiesznie jak widzę takie zjawisko. Chrabąszczu! Chrabąszczu! Dobra! Idź na Rybaki, bo zdechniesz! Walniesz dyktę, od razu sztywność w kolanach minie. Jakby ci tak interes zeszywniał jak nogi w kolanach, to mógłbyś dogodzić Starej Skórze. Stara wypłowiła suka miałaby radości kupę z takiego sztywnego kochanka. – Antek śmiał się na cały głos. Na koniec machnął ręką i odszedł.

Maciek, bojąc się reakcji Antka, udał, że nie usłyszał, co chłopak do niego powiedział. Wolał nie reagować. Słysząc było oddalający się odgłos śmiechu. Maciek tylko machnął rękoma i poszedł dalej. Ponownie musiał się rozpedzić, ale już rozruszany przyspieszył znacznie szybciej. Poszedł przed siebie podskakując niczym owad i dygocząc z przepicia, zimna i ze strachu. Jednak przed wszystkim tak bardzo nie chciał być sam. Potrzebował Grzegorza, bał się chodzić sam po mieście. „Pomyślał, że najlepszym wyjściem będzie odszukanie Grzegorza, a później jakoś tam będzie się działo.” Kiwnął dość idiotycznie głową na potwierdzenie słuszności swojego działania i poszedł jeszcze szybciej w kierunku Wisły. Pragnął nawet odnaleźć swoją koleżankę Starą Skórę. Pokręcił głową z obrzydzeniem na samą myśl o kobiecie, ale rzeczywiście chciał ją

nawet teraz spotkać. Nawet i ona byłaby dla niego ratunkiem.

Stara Skóra, to towarzyszka we wspólnej nędzy Chra-
bąszcza oraz Grzesia. Nie była Indianką, jakby sugerowa-
ło nadane jej przez ludzi przezwisko. Jak wiadomo India-
nie nadawali imiona, biorąc pod uwagę cechy osoby lub
czyny, jakimi zasłynęła lub jakich się dopuściła. Ludy czy-
niły tak przed wiekami. Lud czyni tak i obecnie. Teraz
nadał imię od cech, jakie kobieta posiadała, a posiadała
straszne zniszczoną skórę. Była właścicielką najbardziej
zniszczonego ciała na planecie Ziemia. Żaden dermatolog
i żadna kosmetyczka nie poradziłyby nic na takie znisz-
czenie. Budyńki jak są w takim stanie, jakim jest skóra
Starej Skóra podlegają wyburzeniu. A co zrobić z tym fe-
nomenem? Wprost powiedziawszy nawet ruiną! Straszne
życie uczyniło z kobiety straszdyło, więc lud nazwał ją
Starą Skórą. Stara Skóra była nawet nie taka stara, ale
trudy pijackiego życia oraz zwierzęcy popęd ku tanim wi-
nom, upodobniły z wyglądu kobietę do zadka hipopota-
ma. Zgorzała na gębie i z różowymi, czarnymi, brązowymi
i przeróżnymi od odmrożeń plamami na całym ciele wy-
dawała się chropowata, jakby jakieś straszne nieziemskie
siły swoją nadziemską okrutną mocą dokonały tak po-
twornego zniszczenia. Pomarszczona kobiecina jak stara
śliwka. Katastroficzny stan skóry pogłębiał tu i ówdzie
grzyb. Jak wiadomo, tam, gdzie grzyb, tam też zapach
grzyba, który rasie ludzkiej w niektórych postaciach ra-
czej nie odpowiada i posiadaczowi przynosi ujmę oraz
wstyd. Dlatego dopełnieniem ruiny ciała Starej Skóry był
smród, jaki roztaczała wokół siebie. Kobieta strasznie wy-

glądała i jeszcze straszniej śmierdziała. Wszystkie te czynniki powodowały u ludzi obrzydzenie do kobiety oraz drugie przezwisko: Śmierdziucha.

Maciek również nie darzył Starej Skóry bezgraniczną sympatią, ale lojalność zobowiązywała do obrony zaatakowanego osobnika ze wspólnego stada. Mimo wiedzy o wszystkich wadach towarzyszkę cierpienia, Maćka zabolalo serce, gdy usłyszał wypowiedź Antka. Lubił na swój sposób tę kobietę. Uważał, że nikt jej nie zna i nie docenia. Chociaż za każdym razem, gdy ją spotykał, atakował. Nienawidził jej sposobu życia, chociaż sam lepiej nie żył, ale ją po swojemu lubił. Lubienie nie przeszkadzało mu w brutalnych atakach na kobietę. Czasami nawet bardzo brutalnych. Doprowadzając częstokroć do awantur, a kobietę do łez i wrzasków skierowanych ku niemu. Antek uwielbiał jak Śmierdziucha darła się na całe gardło. Wyglądała wówczas jak dzika małpa, która spadła z drzew i obwieszcza wszystkim wkoło, że jest nieszczęśliwa i że boli ją tyłek. Awantury gasił Ojciec, to jest Grzegorz Olk. Mózg stada i piastun pijackiej trójcy. Opiekun i jedyny jeszcze prawidłowo funkcjonujący mózg, jakim cała trójka dysponowała. W tym stadku przedziwnym, Olk myślał, a dwa pozostałe elementy trójcy, to tylko szerokie jak zlew gardła i przepastne brzuchy nie do zalania. Olk upchać czasami dawał radę jedzenia w te dwa elementy, ale o wiele więcej wlewali niż jedli. Ostatni Maciek zre mało, albo wcale. Za to chleje jak dwusuw. Stara Skóra też zarcia unika, ale za to mordę moczy z taką przyjemnością jak świnia dupę w błocie. Olk myśli, reszta chła. Olk chła,

reszta z głodu i wysuszenia aż trzeszczy. Ot, i jakość cała trójka żyje, pchając do przodu pijacką ńędzą.

Droga nad Wisłę zajęła mu pół godziny. Dwa razy przewrócił się, za drugim razem wywinął takiego orła, że ledwie się pozbierał. Próbując wstać, gwizdnął na ryja jeszcze kilkukrotnie. Obijając swoje wychudzone ciało, kłął, na czym tylko świat stoi za każdym razem jak próbował wstać. Groteska i ubaw. Tylko, że nie dla niego. W końcu przed ostatnią próbą usiadł i ze złości rozplakał się. Trząsł się i płakał. Zmobilizowany łzami i podbudowany złością, dźwignął swoje ciało do góry i poszedł dalej. Uważnie stawiając kolejne kroki i pamiętając, że schodzi z góry. Po bólach i łzach w końcu doszedł do kamienicy z czerwonej cegły. Po mostku wszedł na piętro, gdyż wejście na pierwsze piętro zrobione było tak, by można byłoby wejść prosto z wału ziemnego usypanego obok budynku. Drugie wejście na pierwsze piętro znajdowało się od strony ulicy. Zapukał.

– Czego! – usłyszał wrzask Kowala.

Zapukał jeszcze raz.

– Czego? Kto tam?! – Kowal jeszcze raz zawył jak zarzynana świnia.

W mieszkaniu powstał rumor, to Kowal wstał i zbliżał się do drzwi. Po chwili stał przed nim wysoki mężczyzna z gębą czerwoną jak flaga upadłego sowieckiego imperium. Pijany Kowal odepchnął Chrabąszcza i warknął:

– Czego, pajacu?! – Patrzył przy tym gniewnie i z pogardą na wystraszonego chłopaka.

– Jest Grześ? – z pokorą w głosie zapytał Maciek, przełykając ślinę.

– Nie! – ponownie warknął, zbliżając swoją paskudną mordę do twarzy Chrabąszcza, też zresztą paskudnej, ale przy gębie Kowala i tak wyglądającej na ludzką.

– A był? – ze strachem zadane kolejne pytanie.

– Co ty! Co zadajesz tyle pytań? Dawno ci ktoś nie dokopał? Jeszcze nie dostałeś łomotu w tym sezonie? – wrzeszczał pijany mężczyzna w zapoconym i brudnym podkoszulku na ramięczka. Oczywiście Kowal swoje niezadowolenie poprzetykał najokropniejszymi słowami, jakie zna pijacka rasa. Zanim Chrabąszcz mógł odpowiedzieć, zmuszony został do wysłuchania katalogu przekleństw i wyzwisk odnoszących się do niego.

– Ja tylko...

– Co tylko?! – przerwał mu z wściekłością w głosie i na twarzy. – Won, bo mordę obję jak psu! Psi synu. Pijacka zarazo! Bezdomny gnoju! Zapijaczony głupkowaty pysku! – Twarz Kowala z czerwonej zamieniła się w brunatną. Maciej już wiedział, że Kowal rozprawi się z nim i to za chwilę. Zaczął się wycofywać. Nie było to przemyślane posunięcie. Jak mógł Maciej cokolwiek przemyśleć? Nie mógł! Swoim zachowaniem przyspieszył atak pijaczka.

Kowal natarł z impetem na Maćka i wypchnął go na zewnątrz. Wrzask szamocących się wypełnił kamienicę i podwórko pod i koło mostku. Walka była nie równa. Kowal, opasy pijany wieprz i Maciek, wysuszony pijaczek. Przy takim zestawieniu przeciwników wynik walki był łatwy do przewidzenia. Kowal złapał Maćka za gnaty i cisnął do przodu. Jak starą szmatę. Omalże w locie Maciek nie rozleciał się na drobne kawałeczki. Poczul ból tu i tam. Cicho jęknął i leciał dalej. Zatrzymał się na poręczy

mostka głośno krzycząc ze strachu. Niemal histerycznie. Kowal jednak wybiegł za nim i odciągnął go dalej od kamienicy. Ustawił przy schodach biegnących w dół wału i zepchnął. Chciał przy tym kopnąć chłopaka, ale był zbyt pijany, aby móc utrzymać równowagę na jednej nodze. Upadł i nie wstał. Chociaż próbował. Miał jedynie siły na obrzucenie chłopaka przeróżnymi wyzwiskami. Maciek myślał, że Kowal za chwilę wstanie i ponowi atak. Zaczął walczyć sam ze sobą. Maciek jak rzeczywisty Chrabąszcz, gdy złe okoliczności odwróca go na pancierz próbował kilkukrotnie podrywać się na równe nogi i uciec, ale za każdym razem upadał. Trwałoby to może i przez cały dzień, gdyby nie brak sił. Rozłożył się na ziemi i czekał na zły los, który jego zdaniem miał się za raz dopełnić i zakończyć jego cierpienie lub być sprawcą kolejnych cierpień. Chłopak rozplakał się ze strachu, gdyż spodziewał się za chwilę ponownego ataku Kowala, którego zawsze strasznie się bał, a ten wiedząc o tym, wykorzystywał przewagę do bicia i poniżania. Chrabąszcz leżał i ryczał. Nagle poczuł na sobie czyjąś dłoń. Wrzasnął jak poparzony.

- Nie! Nie! Nie bij. Ja już sobie pójdę! Nie bij! Kowal!
- Cicho. To ja, Ojciec. Co ja mówię! Cicho! To ja Grześ.
- Ojciec. Boże! A gdzie Kowal?
- Tam leży. Pobił ciebie?
- Tak. Byłem tylko zapytać.
- O co?
- Czy ty jesteś? Antek Kwaśniewskiej powiedział, że tutaj jesteś. Przyszedłem, a ten rzucił się na mnie i pobił. Jak psa! Bez powodu.

- Wstań. – Ojciec szarpał w górę bezwładne ciało Maćka.
- Nie mogę. Zesztywniały mi nogi.
- Pomogę ci jeszcze raz. – Nie pomogło. Jak giry Maćkowi zeszywnieją jest po ptakach. Nie da rady wstać.
- Leż, ja zaraz wracam. Leż! Ja za chwilę wrócę!
- Gdzie idziesz?
- Do mieszkania Kowala.
- Po co?
- Ma dwie flaszki spirytusu od ruskich. Takie wielkie.
- Ojciec odsunął dłoń od dłoni, aby w ten sposób pokazać, jakie to wielkie flaszki z wódką posiada Kowal. – Po dwa litry każda butelka – dodał ucieszony.
- Zobaczy ciebie i pobije! Uciekajmy! – zawołał spanikowany Maciek.
- Śpi tutaj. Leż. Spójrz, leży jak zdechły pies. Można bez problemu oskubać całą jego chatę. Ja zaraz wrócę.
- Oszalałeś, nie idź! – z płaczem próbował powstrzymać kolegę od, jak mu się wydawało, szaleństwa.
- Leż spokojnie i bądź cicho. Bo obudzisz tego debila i znowu się zaczniesz. Przecież to wariat i debil. Leż cicho, a nic się nie stanie.
- Dobrze, będę cicho leżeć. Nigdzie się zresztą nie wybieram na tych sztywnych kulasach. Za daleko i tak bym nie odszedł – odpowiedział z uśmiechem drwiąc z samego siebie. – Tylko pospiesz się. Bo mi w plecy mokro.
- Nic dziwnego jak leżysz w kałuży.
- Rzeczywiście. Kurczę, też nie miałem się gdzie przewrócić. Złoto do złota, a Chrabąszcz do wody – zarechotał z siebie.

Po kilku minutach Ojciec wrócił z reklamówką, w której były dwie butelki wódki wlanej w dwulitrowe butle po coca-coli oraz trzy bochenki chleba, cztery puszki paprykarzu i dwie śledzi oraz kilka plastikowych kubków i pęto kielbasy. Szybko pomógł Chrabąszczowi wstać, a raczej zarzucił go sobie na plecy i poszli w kierunku mostu. Minęli klub wioślarski, wdrapali się z nie małym trudem na skarpe i usiedli w krzakach. Patrząc z góry na Wisłę, Grzegorz z ulgą pozbył się balastu. Popatrzył z politowaniem na Maćka, ale nic nie mówił. Odłożył chłopaka delikatnie na trawie i usiadł obok niego. Wyjął z reklamówki wódkę i nalał ją Maćkowi.

– Pij! – nakazał Ojciec.

Maciek wypił podaną mu porcję trunku.

– Dobra – rzekł z radością w głosie.

– Pij szybko! Jeszcze zostało w kubku. Mam jedzenie. Nie ma to jak sobie dobrze podjąć.

– Nie chcę jeść – z wyrazem niesmaku na twarzy odpowiedział.

– Żryj! Ledwo chodzisz.

– Nie, nie chcę. Nie mam apetytu.

– Na chłanie wody to masz, a do czegoś konkretnego, to już nie. Ja natomiast zjem ze smakiem i pójdziemy poszukać Jagody. Może jest głodna.

Jagoda to wspomniana Stara Skóra.

– Na pewno jest głodna. Jeżeli coś uzebrała, to wszystko przepiła i na pewno teraz zdycha z głodu – dodał Maciek.

– Z pewnością jest na dworcu.

– Albo w melinie na Kwiatka. Tam u Krzycha.

– Tam jej nie ma. Okradła go – stwierdził stanowczo Ojciec i po chwili przechylił butkę z wodą. – Pycha spirytusik.

– Królewski. No nie?

Wybuchł krótki śmiech. Przerwany poleceniem Ojca.

– Pij i idziemy!

– Jeszcze mi nogi...

– Przestań ściemniać. Co myślisz, że cię nie znam? Teraz będziesz chlać i dopiero zeszywniejesz. Jak drut! Zachlasz się jak świnia i końmi ciebie nie ruszę. Wstawaj! Już tobie przeszło – rozkazał.

– Jeszcze czuję, że nie. Poza tym wszystko mnie boli. Ja tutaj poleżę i odpocznę, a ty idź poszukaj Jagody. Może jest głodna. Idź ja tutaj poleżę i wszystkiego przypilnuję.

– Co? I jeszcze mam może zostawić gorzałę?

– Nie. Możesz ją zabrać. Tylko złapię jeszcze łyka i pójdę spać. Przestało mnie tak telepać. Może zasnę. Tylko jeszcze trochę jest mi zimno. Poleżę sobie i odpocznę.

– Nic z tego! Idziemy.

– Naprawdę wszystko mnie boli. Kowal strasznie mnie otłukł. Idąc na Rybaki przewróciłem się kilka razy. Wszystko mnie boli. Coś jest nie tak. Boli mnie. Zostanę.

– Wstawaj! Trzeba być twardym. Wstawaj! Ja wstaniesz, to i pójdziesz. Zostaniesz, zginiesz! Pijacki leniuchu. Wstawaj, nygusie!

– Ojciec, nie mogę. Idź sam, a ja poleżę – wyjąkał zebrackim tonem.

– Dobrze, leż tutaj. Masz chleb i paprykarz. – Ojciec dał za wygraną, widząc, jaki żaloszny widok chłopak sobą przedstawia.

– Jak otworzę puszkę? Nie mam otwieracza do konserw.

– Zębami baranie! Akurat tymi trzema, co ci na górze zostały. Wgryziesz się w metal i otworzysz – zadrwił. – Jest przecież zawleczka! Barani łbie! Pociągniesz lekko do góry, a potem do siebie i otworzysz! Barani łeb. Masz moją kurtkę i leż. Ja na pewno przyjdę. Tylko nigdzie nie łaż. Nie ładuj mojej kurtki sobie pod dupę, bo ci ją zabiorę! Masz się nią okryć.

Ojciec zdjął odzienie i podał Chrabąszczowi. Ten szybko owinął szmatą całego siebie. Skulił się niczym pies przed budą.

– Nie! Nie możesz leżeć tutaj. Idź tam, gdzie więcej trawy. Tam pod drzewo.

– Nie! Wolę tutaj na słońcu. Będzie ciepłej.

– Tam też jest na słońcu, ale więcej trawy.

– Tam drzewo zasłoni słońce.

– Jak drzewo może zasłonić słońce, jak słońce po przeciwnej stronie nieba.

– No właśnie. Masz rację. Ale jesteś spostrzegawczy. Idź i szybko wracaj. Masz rację. Słońce zawsze chodzi po tej stronie nieba. – I pokazał właściwy kierunek drogi słońca po niebie.

– Słońce tak faktycznie to nie chodzi. To jest taki ruch pozorny. Ziemia obraca się wokół słońca. Ty już ponownie jesteś pijany. Po paru łyżkach.

– Całą noc nie spałem. Miałem atak. Słońce porusza się pozornie?

– Ja ci nie będę wykladał astronomii! Wstawaj i idź pod te drzewo! Bo ci zawale kopa, to tam doleczisz.